Opłata pocztowa ryczałtem.

Rok I. Lipiec — Sierpień 1926. Nr 7—8.

ECHO

Salezjańskiej Bursy fund. Ks. Al. Lubomirskiego

Kraków, ul. Rakowicka 27. — Telefon 4607. — P. K. O. 406,051.

Schronisko w potrzebie.

10-miesięczne zmaganie się z ogromnemi trudnościami finansowemi, które przynosi znaczna liczba — 54 — przygarniętych w tym czasie **bezpłatnie** sierót, każe nam przedstawić **Przyjaciołom młodzieży** potrzeby tych najbiedniejszych z pośród biednych.

Kilka tygodni temu przychodzi do Schroniska 16-letni chłopczyk — wynędzniały, obdarty i z płaczem opowiada o swej tułaczce po śmierci rodziców, których mu wojna wydarła.

— Poszedłem na służbę z młodszym braciszkiem — czy sobie ksiądz może wyobrazić nasz stan nieszczęśliwy? Poniewierani, wyzyskiwani, pędziliśmy żywot marny. Nikt nam nie okazał serca, nikt się nie użalił naszej niedoli! Pogorszył się jeszcze mój los z powodu choroby brata. Męczył się biedak pozbawiony opieki dwa miesiące, aż śmierć położyła kres jego cierpieniom. Zostałem sam złamany i zniechęcony do życia. Dziś przychodzę do zakładu z prośbą o ratunek. Nie chcę dalej marnować młodości, chcę być pożytecznym Ojczyźnie!

To powiedziawszy, płakał.

Jakże nie podać ręki takiemu sierocie?

A nie jest to jedyny wypadek!

Codziennie puka do drzwi Schroniska po kilku takich nędzarzy, żebrząc litości. Któż wszystkich przygarnie? Kto nakarmi i okryje, kiedy Schronisko nie posiada żadnych funduszów, a dzienne utrzymanie zakładu wynosi obecnie 250 zł?

Wszystkie dotychczasowe zabiegi nie przyniosły wystarczającej pomocy. Z ofiarowanych, używanych ubrań wybraliśmy kilkanaście na okrycie 15 wychowanków. Wielu jednak potrzebuje koniecznie obuwia i bielizny, a kilku odzienia. Brak pościeli, sienników, koców, a przytem długi za żywność doszły już do sumy **8.000.**

Co mamy czynić?

Opuścić ręce i pozbawić młodzieży chleba, wyrzucić tych, którzy mogą być chlubą ojczyzny, na bruk?

Przenigdy!

Nie traćmy nadziei! Wszak ksiądz Bosko w cięższych jeszcze znajdywał się warunkach, a wszystko z Bożą pomocą, przy poparciu **ludzi dobrej woli,** pokonał.

Ufność w **Opatrzność Bożą** nie zawiodła jeszcze nikogo i przekonanie, że mimo „ciężkich czasów“ znajdą się wspaniałomyślni Dobrodzieje młodzieży, napełnią nas coraz większą pewnością, że przetrwamy wszystko!

Festyn w Schronisku Lubomirskich

na rzecz biednych chłopców.

Praca nad wychowaniem młodzieży, podjęta w Schronisku, budzi coraz większe zainteresowanie. Nie brak też różnych pomysłów, by nam dostarczyć środków materjalnych do łatwiejszego spełnienia tak wielkiego dzieła. Zorganizowani niedawno w „związek“ Pomocnicy i Pomocnice Salezjańskie, urządzają **dnia 5 września WIELKI FESTYN** w parku zakładowym. **Każdy może się** bez trudu **przyczynić do pomyślnego wyniku festynu,** a przeto podać rękę **biednej młodzieży,** szczególnie przez ofiarowanie różnych fantów na loterję, **które prosimy przesyłać do Dyrekcji Zakładu.**

Idea misyjna wśród naszej młodzieży.

Po dniu misyjnym.

Ziarno idei misyjnej rzucone. Życiodajne słońce miłości bratniej i ów potężny zew apostoła młodzieży ks. Jana Bosko: „Da mihi animas“ wywołały z ziemi rodnej kłosy bujne a złociste, które pod tchnieniem wiatru chylą ciężarne swe czoła, ścieląc się w pokłonie wielkiej idei misyjnej. I szumią one kłosy z gorczycznego wywite ziarna i wonie sieją chlebowe, pełne zdrowia i tężyzny. Szumią... a pieśń ich rozgłośna coraz szersze zatacza kręgi, coraz się bardziej rozpręża i swemi uroki tysiące wabi młodocianych dusz, iż stają w tajemnej zadumie, oczarowane harmonją onej przecudnej misyjnej pieśni.

Przebrzmiały już echa uroczystości dnia misyjnego, lecz idea w dniu tym zaszczepiona potężnym akordem wionęła w świat i oddźwięk przychylny znalazła w wielu szlachetnych sercach. Świadczą o tem, choćby te olbrzymie tłumy, jakie zapełniły salę Żołnieża Polskiego w czasie propagandowej akademji misyjnej.

WIECZÓR MISYJNY.

Przygotowania.

W dniu 5 czerwca już od rana dał się zauważyć w naszym Schronisku ruch niezwykły. Chłopcy rozbili się po całym zakładzie, każdy gdzieś biega, każdy czegoś szuka. Ruch, jak w mrowisku.

— „Cóż-to tak gonisz, jak oparzony“ — pyta pędzącego z napchanym siennikiem Mańka zawsze spokojny i zrównoważony Jaś. „Strać się, nie zawadzaj, bo muszę przygotować sypialnię dla gości“.

— „A jacy to goście mają tu dziś zjechać? — pyta znowu ciekawie, przytrzymując siennik Jaś„.

— „To nie wiesz fuło, że o czwartej przyjeżdża do nas trupa aktorska z Oświęcimia, z zakładu ks. Bosko?“

Te i tym podobne rozmowy krzyżowały się już od rana pomiędzy chłopcami, bo każdy miał coś do przygotwania.

Szkoła muzyki, aż się trzęsła od huku trąb i od wrzasków mocnych, tenorowych głosów. Komisja przyjęć, złożona z samych frantów, uwijała się koło własnej garderoby. Każdy włosy namaszczał olejkami i przysłaniał siatką, szkoty wyczyścił „na glanc“, portki „w kant“ wyprasował i paradował sobie, nadrabiając miną i przyuczając się do górnych manier i gestów.

Przybycie gości i wymarsz do sali Żołnierza Polsk.

Na gorączkowem przygotowaniu szybko zeszedł czas. Nadjechali aktorzy z Oświęcimia w liczbie 30 i udali się wprost do sali Żołn. Pol., gdzie mieli odegrać nieśmiertelną swą sztukę misyjną p. t. „W Puszczy“.

Nasza zaś kapela, przystrojona odświętnie, połyskując złocistemi instrumentami w słońcu wieczornem, wylała się z rozgłośnym marszem na ulice miasta, by zwoływać gości, amatorów sztuki do sali Żołn. Pol.

I szły szeregi młodych muzykantów w karnym ordynku, równo. w takt marszu, a tłumy widzów, zwabione muzyką, niby fala rozkołysana płynęły za kapelą nie wiedząc, co bardziej podziwiać, czy muzykę, czy też dziwaczne ubiory indyjskie, w jakie przybrany był kapelmistrz, dobosz i kilku z muzykantów.

Kapela przeszedłszy kilka ulic, zawinęła znienacka przed dom Żołnierza i weszła do sali teatralnej, a tłum, jakby zahipnotyzowany, poszedł w ślad za kapelą i zajmował bezwiednie miejsca, tak, że wkrótce sala wypełniła się po brzegi.

Część I. Akademja misyjna.

Zagrzmiała orkiestra związkowa ks. Kuznowicza. Zamilkły szmery. Przez salę przebiegła cisza, a za nią w ślad płynęły miękkie, bujne i pełne artystycznego wdzięku tony orkiestry.

Wieczór misyjny się rozpoczął.

Nad salą powiała skrzydłami wzniosła idea misyjna, zbudzona pod wpływem natchnionych słów znakomitego mowcy p. hr. Fr. Ksawerego Pusłowskiego. Sala cała zamieniła się w ciszę. Słuchacze w pobożnej zadumie pochylili czoła, a mowca dostojny przemawiał. Niby rosy perliste na uśpione kłosy padały słowa z mownicy na pogrążone w ciszy skronie.

Umilkł mowca; lecz jego myśli wciąż jeszcze drgały życiem i bujały wokół, niby ogniki świetliste. Buchnął dźwięk... a za nim akordów

tysiące rozbiły ciszę i hucznemi tony przebiegły salę. Przy fortepianie zasiadla p. artystka Grodzicka.

Część pierwsza wieczoru misyjnego, t. j. akademja, rozwijała się wspaniale. Deklamacje naszych wychowanków i śpiewy chórowe pod dyr. p. Tomasza Czapli były godnem zakończeniem akademji.

Część II. Przedstawienie.

Część drugą wypełniło przedstawienie o treści misyjnej p. t. „W Puszczy“. Na tle życia czerwonoskórnych Borovosów rozgrywa się przed oczyma widza potężna walka miłości z nienawiścią — dobra ze złem. — O. Tomasz, misjonasz katolicki z największem poświęceniem pracuje wśród dzikich Indjan nad założeniem Królestwa Chrystusowego; otacza opieką dzieci, karmi je i uczy prawd wiary i miłości. Dzieło rozwijające sę bardzo pomyślnie, postanawają zniszczyć wspólnemi siłami czarnoksiężnik Bar Joh i pastor protestancki Odwig. Walka wre zaciekła. Chwilowo zdaje się, że kłamstwo i nienawiść zatriumfują. Misjonarz oskarżony przed kacykiem Tehuelków o podpalenie stepów, skazany na śmierć. W ostatnim momencie oszczerstwo wychodzi na jaw. Właściwych sprawców schwytano i osądzono. O. Tomasz za zemstę płaci miłością, przebacza wszystkim. Tym aktem dokonuje nawrócenia kacyka z całym szczepem. Miłość zawsze zwycięża!!

Przedstawienie to, jak i akademja wywarły na wszystkich obecnych głębokie wrażenie. Idea misyjna opanowała wszystkie serca, a postać szanowna O. Tomasza poświęcającego życie swoje dla biednej, opuszczonej dziatwy pogańskiej, dotychczas zapewne tkwi w żywej wyobraźni młodzieży, budząc w jej duszach dziwne refleksje i chęć naśladowania.

Cześć propagatorom wzniosłej idei misyjnej!

Wychowanek „o misjonarzu dobrego przykładu“.

(Wyjątek z referatu J. K.).

Dwa tereny walk z piekłem są na globie ziemskim. Jeden za morzami, wśród niewiernych ludów. drugi wpośród nas, tu, gdzie nasi rodacy nazewnątrz noszą miano katolików, a w rzeczywistości wielu jest takich, co w gorszem są położeniu od pogan. Szatan ma misjonarzy zła, którzy przez błyski namiętności, przez powab rozkoszy światowych, przez jad zepsucia w książkach, gazetach, przedstawieniach teatralnych i filmowych, zasłaniają jasność cnoty przed oczyma duszy ludzkiej. Walczyć nam należy z tymi misjonarzami zła. Zrzućmy najpierw maskę obojętności religijnej z naszej twarzy, a z dusz naszych brudne szaty, aby potem z większym zapałem zdzierać łuskę z ócz ludzi nieoświeconych. Wśród mgły piekielnych szałów, stańmy się

pochodniami gorejącemi na cześć Jezusa i Marji — bądźmy kwiatami cnót, zroszonemi ożywczą rosą łask Komunji św., wśród uschniętych roślin, które czeka ogień zniszczenia. Grzesznikom — przeciwstawmy cnotę: słabym — wytrwałość w dobrem; błądzącym — jasne cele: Bóg i niebo! Niewierzącym — płomień wiary i miłości; gnuśnym — wierność w obowiązkach. I chociaż często bałwany wściekłości piekieł będą nas chciały pochłonąć, albo przez namiętność odwieść od drogi prawej, nie traćmy nadziei, ale ufni w moc Bożą, żyjmy życiem Świętych, a innych do świętości pociągniemy, a przez to nietylko oddamy przysługę naszym braciom, ale i Ojczyźnie, która wtedy będzie szczęśliwą i potężną, gdy będzie miała zdrowe i cnotliwe dzieci.

Idea misyjna w czynie.

Hasło niesienia pomocy misjom nie przebrzmiało bez echa w naszym zakładzie. Może się o tem łatwo przekonać każdy, kto wchodzi w progi naszego zakładu. Przy głównej bramie wchodowej w westibulum, przymocowana do ściany, tkwi „skarbonka misyjna“, tak, że każdy przychodzący, lub wychodzący z domu, ma sposobność do złożenia wdowiego grosza na rzecz misyj.

Nie dosyć na tem.

Prócz pomocy czysto materjalnej, na jaką nie wszyscy zdobyć się mogą, wspomaga się u nas misje moralnie. Ku temu służy niedawno wprowadzony w życie „skarbczyk misyjny“, t. j. odpowiednio przygotowana karta (druk), na której członkowie towarzystw misyjnych zapisują każdodziennie komunje św., modlitwy, akty strzeliste, umartwienia i dobre uczynki, ofiarując je na rzecz misyj. Karty takie wystawia się co miesiąc. Zapełnione wysyła się do odpowiedniego instytutu misyjnego.

Z życia naszego Zakładu.

Z nastaniem wakacyj.

Wakacje! Okrzyk ten, to okrzyk radości dla wszystkiej uczącej się młodzieży.

Skończyły się nareszcie dni mozolnej pracy, dni nudnego ślęczenia nad książką, dni tremy przed dwóją, która, jak miecz Damoklesa wciąż wisi nad uczniem, skończył się rok szkolny.

Długie dziesięć miesięcy dobiegły kresu i nastały wakacje, czas wolności i używania, czas wypoczynku, czas wycieczek. W naszym zakładzie nie wszyscy niestety podzielali ogólną radość z nastania wakacyj. Dwie bowiem kategorje młodzieży mieści nasz zakład: młodzież rękodzielniczą i przemysłową. Przemysłowcy, wycieńczeni pracą

naukową, już od maja zaczęli się gotować do wakacyj, choć jeszcze z pewną rezerwą, bo myśl o spaleniu nie dała im spokoju. Na szczęście wszyscy otrzymali dobre świadectwa i dziś z całą swobodą używają wypoczynku w domach rodzinnych, poświęcając wszakże wiele czasu praktyce zawodowej. Młodzież zaś rękodzielnicza przykuta do warsztatu musiała się pożegnać z wakacjami w całem słowa tego znaczeniu. Domem rodzinnym dla nich, to nasza bursa. W niej spędzają wolne od pracy chwile, oddając się sportowi i lekturze pożytecznych książek.

Urozmaicenia.

Celem urozmaicenia czasu wakacyjnego biednej młodzieży, zarząd bursy uplanował cały szereg interesujących wycieczek. Dłuższych wycieczek mieliśmy dotychczas trzy, t. j. do Czerny, Tyńca i na Bielany.

Pomijając dwie ostatnie, opiszę tu pokrótce najciekawszą — wycieczkę do Czerny.

Wycieczka do Czerny.

Przygotowanie i wymarsz.

Wstał dzień pogodny, majowy. Słońce promienne powstało z morza i pękami złocistych promieni przesyconych rosą i wonią kwiatów przepojonych zajrzało w głąb naszej sypialni. Na wieży kościelnej zagrały dzwony modlitwę poranną i zbudziły nas ze snu. Wesoło powitaliśmy wlewający się przez szyby pogodny dzień, który miał nam przynieść tyle wrażeń. Za chwilę klęczeliśmy wszyscy rozmodleni w domowej kapliczce, pełnej woni kwiatów i promieni.

Zagrała trąbka na zbiórkę, a za nią dzwon nasz spiżowym głosem wydzwaniał wesołe alarmy. Na dane hasło, wszystko, co żyło, i młodzież i przełożeni wyległo na podwórko zakładowe. W mgnieniu oka stanęły szeregi w karnym ordynku, padła komenda, wzniosła się batuta i razem z dźwiękami trąb, armja młodzieży ks. Bosko, defilowała szumnie poprzez ulice miasta. Głośno krzyczały trąby, a głośniej jeszcze uderzały radością i zapałem przejęte nasze serca, tak, iż od głosów onych całe zbudziło się miasto, wypatrując przez okna, kto też o tak wczesnej porze śmie wyprawiać hałasy.

Słońce wspinało się coraz wyżej i patrzało w nas rozradowane, przydając blasku nędznym naszym instrumentom.

Stacja! Gwizd przeciągły przeszył powietrze i umilkł. Umilkły także i trąby — ogarnął nas zwykły ruch stacyjny. We wzorowym jednak porządku weszliśmy na peron, a następnie do przeznaczonych dla naszej wycieczki wagonów. Kapela zajęła osobny przedział i długo, długo jeszcze hałasowała, aż się pociąg rozzłościł i ruszył z gniewnem sapaniem, unosząc nas z dymnego miasta w ciche wioskowe ustronie.

Mignęły przed nami i pola i gaje i miasta i sioła. Znowu gwizd; — jesteśmy u celu.

U celu.

Z obszernych wagonów wysypuje się nasza „wiara“, wiąże się w szeregi, rozbrzmiewa marszem i rusza w krzeszowickie ulice. Krze-

szowice, to małe miasteczko, ukryte w zieleni, nie tyle piękne, jak przyjemne. Mijamy wspaniały gmach i park, przeznaczony na uzdrowisko. Przeszliśmy miasto. Przed nami szeroki otwiera się widnokrąg: pola, pagórki, zagaje i lasy. Pierś się rozszerza, na licach zdrowy rumieniec wykwita. Przydrożny strumień nam szumi, szemrzą drzew liście radośnie, drga trawka zielona, motylków drużyna w powietrzu się zwija, ptasząt nam grają szczebioty i wabią nas kwiaty barw tysiącem. Ot cicha sielanka natury. Droga coraz się piętrzy. Już suszy nam czoła sperlone chłód boru, już szum nas poważny dolata. Hen w głębi majaczeje tonąca w zieleni wieża klasztorna. Wreszcie po półgodzinnym marszu, stajemy przed klasztorem, u stóp polskiego Karmelu.

Leśną ścieżyną, wśród szumu smukłych bukowych lasów, przy dźwiękach kapeli przekraczamy ciche mury zakonne. Mijamy cmentarzyk karmelicki pełen barw i woni i wchodzimy w dziedziniec klasztorny. Jak habity bosych mnichów białe, otoczyły nas wokół białe mury klasztornych gmachów. Po prawej stronie świątynia wspaniała wysoką wieżą w błękitach się nurza, a dalej przed nami i po stronie przeciwnej, mniejsze domki mieszkalne i gospodarcze. Cisza była w dziedzińcu, gdy naraz, jakby na nasze przywitanie zatrzęsła się wieżyca i z obłocznych kędyś stron spiżowe spłynęły tony, roznosząc po cichych pagórkach i słonecznych zagajach balsamiczną woń modlitwy.

Msza św.

Porwani tą pieśnią rozegranych dzwonów weszliśmy do wnętrza świątyni i wraz z wiernych gromadką, wśród kadzidlanych obłoków, i tajemnych szeptów modlitewnych, towarzyszyliśmy bezkrwawej ofierze. Rozmodlone serca, uniesione radością chwili, rozlały się w tony chórowej pieśni, wielbiąc imię cudownej Matki z Karmelu. I płynęła pieśń dźwięczna umiłowaniem, a młodzieńczym zapałem bujna. — „O Marjo, przyjm w ofierze, co Ci dzieci niosą szczerze“ — biło wspaniałą polifonją z gorących serc naszej młodzieży, falowało przed rozjarzonym ołtarzem, i wraz z srebrzystym dźwiękiem dzwonów w czasie podniesienia płynęło smugą świetlistą poprzez szyby barwne hen . . . hen, kędy się niebo modrzy pogodne.

Skończyła się ofiara, a myśmy jeszcze klęczeli pogrążeni w pobożnej zadumie, aż nas wiatru tchnienie owionęło i dzień przejasny wywabił na pola . . . na gaje.

Posiłek i przygoda z sową.

Za murami klasztornemi, w cieniach dębów prastarych, do porannego zasiedliśmy posiłku. Zielonym traw obrusem zasłane stoły, chleb czerstwy i kiełbasy kawał stanowiły dla znużonych i zgłodniałych wycieczkowców królewskie śniadanie. Humory były wyborne, dowcipy sypały się, jak z rogu obfitości, podsycane gorącemi napojami (mleko gotowane i herbata z cytryną). Wesołość doszła do zenitu, gdy amatorzy wrażeń zaspokoiwszy głód, sposobiąc się do drogi, spostrzegli na gałęzi śpiącą sowę. Zrobił się wrzask nie do opisania. Wszyscy na

prześcigi chcieli włazić na dąb, by tanim kosztem zostać bohaterami dnia. W iście małpim tym konkursie rekord zdobył Stach, dla smagłej swej cery, skośnych oczu i niezwykle silnej budowy ciała, mongołem nazwany. Szybko, jak żbik przeskakiwał z gałęzi na gałąź, obłapiał gruby pień dębu, tęgiemi splotami ramion i cicho, zdradziecko zbliżał się do swojej ofiary. — Stanął tuż nad nią. Wszyscy dech zaparli w piersiach. Olbrzymia, czarna dłoń zawisła nad śpiącą spokojnie sową. Jeden błyskawiczny ruch, krzyk, garść pierza... i sowa w rękach naszych. Wiara zawyła z radości, a mongoł z triumfalną miną, trzymając w jednej ręce zdobycz, a drugą chwytając się konarów, schodził wśród niemilknących oklasków i braw. Już na ostatnim konarze... skoczył. Hałaśliwa gromada otacza go wkoło. Sypią się gratulacje i okrzyki podziwu. Wszędy gwarno i wesoło. Sowa tylko, symbol mądrości szeroko otwartemi oczyma patrzy na wszystkich poważnie i smutno, jakby pytając: — „na cóż ta psota?“ Nikt jej jednak nie odpowiedział, bo każdy rusza teraz w swoją stronę: na góry w drzew cieniach drzemiące, na zdroje toczące po skałach parskające wody, na pola falą zbożową szumiące i na łąki kobiercem kwiatów usłane.

Na łonie czerneńskiej przyrody.

Pustką zaświecił klasztor i dawnym spokojem. Zato życiem zadrgała cała okolica. Po lasach uwijały się drużyny wycieczkowców, rozmowy, śpiewy i ciągle „hop, hop“ tysiącznem echem rozbijało się po okolicy. Dolina Eljasza huczała życiem. W kryształicznych falach strumienia nurzały się umęczone upałem czoła, pęki kwiatów i zielonych liści widniały w dłoniach wszystkich młodych podróżników. Pod ciemną, poważną, szpilkowym lasem szumiącą górą bije źródełko wody perlistej. W kształcie serca zbudowany basen chwyta wszystkie srebrzyste kropelki i pogodną powierzchnią wód, niby modremi oczęty dziecięcia, patrzy w rozlane wysoko błękity.

Z źródłem tem, zwanem źródłem Eljasza, przeróżne, iście cudowne wiążą się legendy. Podobno woda eljaszowa ma moc uzdrawiającą. Nie mogłem tego doświadczyć, gdyż na szczęście byłem zupełnie zdrów. Samo źródełko wraz z przyległą okolicą stanowi wymarzone wprost miejsce dla utrudzonych wycieczkowców. Woda źródlana, chłód leśny i ta atmosfera dziwnie spokojna i poważna nastraja do głębokich myśli i refleksyj. Tam też, „super fontes aquarum“ koncentrowała się droga wszystkich wycieczkowców. Nie mówię tu tylko o naszych wycieczkowcach, bo prócz naszej bawiła w Czernej równocześnie wycieczka ze Śląska w liczbie około 200 osób, przeważnie młodzieży obojga płci. Dziw, jak wszystkich zachwyca polska przyroda, jak jeden dzień spędzony na jej łonie odmienia charaktery i usposobienia, zbliża jednych ku drugim, jednoczy, oną siłą jedności natury, która z jednego płynie źródła, początku i końca wszystkiego.

Wieczorne nastroje.

Słońce wesoło i pogodnie patrzało na strojną i wonną ziemię, aż w wędrówce swojej minęło zenit i zwolna zaczęło się przetaczać ku

zachodowi. Błękitna bladość, pełna spokoju i majestatu oblała ziemię. Na grząskie, szpilkowie leśne, długie wypełzły cienie, a szczyty drzew stanęły w łun wieczornych pożarze. Cicha rzewność i melancholja przyrody zaczęły się zwolna przelewać do naszych dusz, zaduma dziwna patrzała nam z oczu. Dzień już dobiegał kresu — kończyła się nasza wycieczka. Żal nam było opuszczać to ciche ustronie, tę wolności świątynię, gdzie każdy uczuł się swobodnym, mocnym i zdrowym, nieodrodnym synem matki natury. Żal nam było pożegnać te góry i lasy potętne, stojące w zórz złocie, te zdroje szumiące pełne życia i zdrowia, te łąki i pola kwietne, te rozśpiewane słoneczne gaje, te runią lśniącą grające zbożowe łany, te nieba pogodne, te wiatry chłodzące i tę powietrza przejrzystość. Żal nam było... ale — oto trąbka rozgłośnym tonem zadrgała w ciszy. Czas nam w drogę, bo i słońce wnet skończy swoją wędrówkę.

Osobliwy powrót.

Z gęstwy drzew i krzewów powoli zaczęły się wyłaniać pojedyncze postaci, łączyły się w grupy i płynęły w stronę, gdzie trąbka wydzwaniała swoje hejnały.

Wnet opustoszała okolica, tylko wzgórek jeden wyniosły zaroił się mrowiem. Gwar i ożywiona rozmowa. Wszyscy wypowiadają swoje wrażenia, wszystkim wyziera z oczu radość i wesele, a z lica zdrowy rumieniec. Znowu trąbka. Kapela staje w szeregu. Smętny, jak wieczór walc pożegnalny rozwija swe bujne akordy i płynie po przestworzach, niby mgieł miękkie całuny. Rozpoczął się odmarsz dziką, leśną dróżyną. Płyną szeregi gwarne ciemnym wąwozem, to po pagórkach się snują w błaskach czerwieni, witając każdy zdobyty szczyt triumfalnym okrzykiem chóralnej pieśni. W ten sposób, urozmaicając sobie drogę, rychło stanęliśmy na dworcu kolejowym.

Znowu w Krakowie.

Chwilka jeszcze, jeden, dwa marsze i znowu jazda w dusznych ramionach żelaznego smoka. Kraków wrzał życiem wieczoru, gdyśmy przy dźwiękach muzyki wkraczali w jego rozświetlone ulice, strojni w kwiaty i zioła. Tramwaje, auta, dorożki, pojedyncze postaci i całe grupy osób płynęły po ulicach, niby fala jakaś ogromna, pełna życia i gwaru. Nasza wycieczka począwszy od stacji zajęła środek ulicy, postępując szumnie i buńczucznie w takt kapeli, która mnóstwo zwabiła ciekawych, prowadząc ich pod sam zakład. Ciemno już było na świecie, gdyśmy stanęli przed domem, a znużenie, które uczuliśmy dopiero teraz, dopraszało się o swoje prawa. Po krótkiej więc wieczerzy i krótszej jeszcze modlitwie, wszyscy udaliśmy się na spoczynek. Sen nas utulił miękkim swym puchem, zawarły się ciężkie powieki, a — Czerna urocza późno w noc nie schodziła z naszej wyobraźni.

Z listów wakacyjnych.

Z pomiędzy wychowanków Schroniska — 17 uczniów — szkoły przemysłowej, wyjechało w rodzinne strony na wywczasy wakacyjne.

Przywiązani do swej „drugiej rodziny“, jak jeden z nich nazwał zakład, utrzymują z przełożonymi żywą wymianę myśli, opisując w listach swe rozrywki i prace.

Warta przytoczyć tu niektóre ustępy z nich:

. . . „tymczasem — pisze jeden — odpoczywam, a przytem pomagam w piekarni sprzedawać... chcąc być czemś na świecie, trzeba pracować; przez pracę człowiek staje się zamożnym i szczęśliwym. — ...Nie zapominam i o modlitwie, która wskrzesza człowieka (charakterystyczne) i zachęca go do wytrwałej pracy..., nie mam tylko sposobności przystępować do komunji św., która mnie w Krakowie tak ożywiała . . i wtedy czułem się szczęśliwym i to mnie wstrzymywało od wielu rzeczy“ . . .

„Czego mi brak — pisze inny — to naszej kaplicy. Brak mi tego zakątka, gdzie dusza swobodnie mogła rozmawiać z Bogiem, zagłębiać się w nieskończonej miłości i dobroci Jego. Te chwile rozmyślań cichych, chciałbym, aby jak najprędzej wróciły!... Jaka to piękna była chwila, gdy zabrzmiało w kaplicy: „A teraz zastanówmy się kilka chwil nad stanem naszego sumienia...„ Ta cisza po tych słowach . . . pochylone głowy robiły wrażenie, jakby obrazu z czasów średniowiecza, czasów gorącej wiary i miłości Boga, przeniesionego w dzisiejszą dobę . . .“

„Proszę mi podać wskazówki, — prosi trzeci — jak się mam zabrać do zorganizowania wśród dawnych kolegów „koła misyjnego“. — Widzę, że wśród młodzieży wiele możnaby pod tym względem zrobić...“

„. . . Ja teraz praktykuję — pisze jeszcze inny — a czas wolny poświęcam pracy misyjnej, abstynenckiej, sportowej, studjowaniu lektury, załatwianiu korespondencyj i tak czas schodzi na pracy, która mi jednak nie sprawia przykrości, być może dlatego, że mieszkam w otoczeniu ośrodków pracy.

Rachunek w bursie ureguluję, gdy tylko dostanę zapłatę za praktykę, narazie bardzo przepraszam, że tego jeszcze nie uczyniłem.

Na zakończenie życzę miłego wypoczynku wakacyjnego, a to póki mnie niema, bo gdy przyjadę, to już chyba wszelki wypoczynek niemożliwy“.

Rozmaitości.

Ogród.

Wiele życia wnosi w mury naszego zakładu ogród. Już od rana przybywają tu całe pielgrzymki klientów, by z skarbca ogrodowego zaczerpnąć nieco jarzyn, owoców, lub kwiatów. Sklep znajdujący się przy furcie ogrodowej cały dzień otwarty. Ogrodnicy krzątają się, jak mogą, by należycie obsłużyć wszystkich gości. Ważą, obliczają i zgarniają pieniądze, uwijając się w pośród wonnych kwiatów i owoców, w pośród stosów głów kapuścianych, kalarepy, marchwi, kalafjorów, pomidorów i cebuli, by jako tako ratować stan nasz finansowy.

Praca w chłodne poranki wiosenne i w upalne, mozolne dni lata, wydała dzisiaj plony obfite. Ogród stanął w zieleni i, aż się pochylił brzemienny bogactwami płodów pracy i potu.

Nie dziw też, że wielu ciekawych przychodzi odwiedzać nasz ogród, nie bacząc na psie szczekania i na szkłami najeżone, murowane barjery.

Dla tych gości niepowołanych musieliśmy na środku ogrodu wystawić cienistą altankę, by ich tam godnie przyjąć i odpowiednio uraczyć.

Kultura gospodarcza.

Celem wykorzystania bujnie porastających nasz ogród traw, zarząd bursy sprowadził w ostatnich dniach dwie nowe maszyny do koszenia, które same chodzą, same koszą i same uprzątają trawę. Jedna z nich nazywa się Krasula, a druga Malina.

Maszyny te mają jeszcze tę nieocenioną zaletę, że prócz siana nie zużywają żadnych innych materjałów, a za siano płacą mlekiem Przydałaby się jeszcze jedna, a także motorek w postaci konia! Rozpoczęta zbiórka dobrowolnych datków na ich zakupno.

Zdziczenie obyczajów.

Zdziczenie obyczajów, to powojenna bolączka wszystkich niemal społeczeństw. Co gorsze, że choroba ta z zastraszającą szybkością przenosi się na świat zwierzęcy.

Niedawno mieliśmy tego dowód na drobiu.

— Oto pięć oswojonych, domowych kur z kogutem na czele zdziczało przez jedną noc i uciekło gdzieś... zapewne w bielańskie lasy. Do dzisiaj ich niema, a kłódka, która je więziła, rozbita.

Straszne czasy!

Ruch organizacyjny.

Kółko gimnastyczne.

Część naszej młodzieży rękodzielniczej, chcąc wykorzystać wolne od nauki wieczory, zawiązała się w kółko gimnastyczne, które pod przewodnictwem p. kapelmistrza T. Czapli, świetnie rozwija swoją działalność.

— Oczekujemy ciekawych popisów gimnastycznych.

Harcerze w czasie wakacyj święcą swoje triumfy. Oni stanowią ozdobę i chlubę wycieczek, oni rozweselają nas w długie, upalne niedziele swym pełnym humoru śpiewem i harcrskiemi zabawami, oni dla nas wszystkich są wzorem porządku i poświęcenia się dla dobrej sprawy.

Czuwają na posterunku młodsi nasi hercerze.

Inne organizacje.

Wszystkie dawniej już istniejące w naszej bursie organizacje, jak tow. „Młodzieży Misyjnej", Abstynentów, a przedewszystkiem klub sportowy „Bosko", mimo czasu wakacyjnego, nie zaprzestają swojej działalności.

W ostatnich czasach mówi się także o założeniu na rok przyszły kółka dramatycznego.

Przy grobie ks. Bosko.

Czcigodny ks. Generał, ks. Filip Rinaldi, pragnąc, aby duch poświęcenia się w pracy dla młodzieży coraz bardziej się pogłębiał, zgromadził dyrektorów zakładów Salezjańskich Europy do Turynu. Przybyli wszyscy z poza Włoch w liczbie 142, do grobu ks. Bosko — Turyn — Valsalice, ze swymi ks. ks. Inspektorami.

Stamtąd pisze ukochany nasz ks. dyrektor Adam Cieślar:

Ile chwil drogich, spędzonych u boku Ojca — trzeciego następcy ks. Bosko, przy grobie wielkiego Apostoła Młodzieży!

Godziny całe spędzałem we wspaniałej kaplicy, u stóp sarkofagu, kryjącego święte szczątki naszego Założyciela.

Nie zapomniałem w tych modlitwach i o Was przezacni Pomocnicy i Pomocnice. Polecałem Wasze rodziny i troski wasze Marji Wspomożycielce wiernych i ks. Bosko, który przez całe życie powtarzał: „Dzięki waszym ofiarom, zdołaliśmy stworzyć i utrzymać setki przytułków i zakładów dla młodzieży opuszczonej".

CZCIONKAMI DRUKARNI „GŁOSU NARODU" W KRAKOWIE.